



Zdzisław Bieleń

Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie

**WYJĄTKI Z PAMIĘTNIKÓW POWSTAŃCA.
BITWA POD SŁUPCZĄ DNIA 8 LUTEGO 1863 R.**

**Exceptions to the insurgent's diaries.
The Battle of Słupcza on 8 February 1863**

**Выписки из дневников повстанцев.
Бой под Слупчей 8 февраля 1863 года**

Słowa kluczowe: powstanie styczniowe, Lubelszczyzna, bitwa pod Słupczą, pamiętnik, Leon Frankowski, Antoni Zdanowicz

Key words: January Uprising, Battle of Słupcza, diary, Leon Frankowski, Antoni Zdanowicz

Ключевые слова: Январское восстание, бой под Слупчей, дневник Леона Франковского, Антоний Зданович

W kwietniu 1865 r., rok po stłumieniu powstania styczniowego, w rządowej gazecie „Dzienniku Warszawskim”, następcy i kontynuatorze „Dziennika Powszechnego”, ukazał się anonimowy 11-odcinkowy utwór pod wspólnym tytułem *Wyjątki z pamiętników powstańca*. Każdy z tekstów został zaopatrzony również w indywidualny podtytuł. Trzy artykuły (od czwartego do szóstego) dotyczyły dziejów oddziału zorganizowanego przez Leona Frankowskiego i są zatytułowane *Bitwa pod Słupczą d[nia] 8 lutego 1863 r.*¹

Jeśli miał to być pamiętnik, to na pewno daleko odbiega od innych tego typu utworów. Nie jest to narracja ciągła, chronologiczna, a w zasadzie zestaw kilku utworów (artykułów) o tematyce powstańczej dotyczących określonych spraw, czy też wydarzeń w różnych częściach Królestwa Polskiego (Kraków, Lwów, województwo lubelskie i województwo płockie).

To, że wspomniany materiał ukazał się w rządowej gazecie stawia pod wielkim znakiem zapytania jego rzetelność i obiektywizm. Już pobieżna lektura wskazuje, że daleko mu do tego. Autor jawi się bowiem jako zdecydowany przeciwnik powstania. Powyższą konstatację wzmacnia fakt, że tekst ukazał się w czasie, kiedy w najlepsze trwała rozprawa z uczestnikami walki.

Pierwszą kwestią, jaka rodzi się przy lekturze „Pamiętnika” to pytanie o jego autora. Nie zdołał tego ustalić Eligiusz Kozłowski, zasłużony badacz powsta-

¹ *Wyjątki z pamiętników powstańca. Bitwa pod Słupczą d[nia] 8 lutego 1863 r.* „Dziennik Warszawski” 1865, nr 147, s. 1533–1534; nr 150, s. 1568; nr 157, s. 1630–1631.

nia i twórca niezwykle cennej *Bibliografii powstania styczniowego*². Fiaskiem zakończyła się również próba podjęta przez autora niniejszego wstępu. Nie przybliżyła rozwiązania zagadki szczegółowa analiza memuaru. Jego twórca unika bowiem podawania szczegółów sytuacji, które pozwoliłyby go zidentyfikować. Bardzo rzadko przywołuje jakieś nazwiska, a jeśli to czyni – podaje jedynie dowódców.

Drugim powodem wątpliwości są daty i tereny, na których miał uczestniczyć w walkach powstańczych. Wspomniane trzy teksty o bitwie pod Słupczą opisują wydarzenia od 22 stycznia do 9 lutego na terenie województw lubelskiego i sandomierskiego. Poprzedzający je artykuł cyklu nosi podtytuł *Wyprawa na Niewikłe*³. Jest to relacja świadka i uczestnika o początkach powstania na terenie województwa płockiego, a tematem są wydarzenia od wybuchu powstania do bitwy pod Niewikłem w okolicy Płońska. Według tego wywodu dowódca oddziału płk Skowroński, swoimi nieumiejętnymi działaniami, doprowadził do klęski i rozpadu oddziału. Natomiast Stanisław Zieliński informując o tym wydarzeniu podał, że Robert Skowroński 22 stycznia miał pod wsią Gołębie małą utarczkę z Rosjanami, z której wyszedł bez strat⁴.

Treść tych tekstów wzajemnie się więc wyklucza. Powstaje zatem uzasadnione podejrzenie, że wszystkie one wyszły spod pióra dziennikarza wspomnianej gazety. Aby taki pamiętnik (?) przygotować wystarczyło tylko zebrać potrzebne informacje od rosyjskich służb śledczych i wykorzystać w publikacji. I jeszcze jeden argument. Taką wrogość do powstania, jaką zaprezentował „pamiętnikarz”, nie mogła wyjść od osoby, która najpierw identyfikowała się z jego celami i zasadami.

Mimo tych zastrzeżeń warto bardziej szczegółowo przeanalizować „Pamiętniki” i zawarte w nich treści. Praca składa się z trzech części, które można by zatytułować: „Powstańcy w Kazimierzu”, „Ucieczka” oraz „Bitwa pod Słupczą i koniec oddziału”. Czytelnik najwięcej dowiaduje się o pobycie powstańców w Kazimierzu, a później o ich peregrynacji przez tereny Lubelskiego i Sandomierskiego.

Ale nawet te szczegółowe części tekstu, nie prezentują zwartej narracji, a są raczej refleksami o powstaniu na przykładzie oddziału puławskiego i jego wojskowego dowódcy Antoniego Zdanowicza. Tym niemniej na ich podstawie można przybliżyć sobie sprawy znane z innych źródeł, czy opracowań historycznych, ale też poznać szereg szczegółów skądinąd nieznanych. Dowiadujemy się na przykład, że Antoni Zdanowicz przystąpił do powstania kilka dni po jego wybuchu i od razu został mianowany „naczelnikiem sił zbrojnych województwa lubelskiego”, a oddziałek przybrał nazwę „oddział lubelski”. Od tego momentu rozpoczęło się przekształcanie luźnej grupy powstańców w zorganizowaną partię, podzieloną w setki i dziesiątki. Ustanowiono funkcyjnych, wprowadzono regulaminy, zaprowadzono strażę i patrole, rozpoczęto ćwiczenia wojskowe. Wszystkie te zarządzenia były jak najbardziej słuszne i potrzebne.

Uzbrojenie oddziału było mizerne. Składało się na nie kilkadziesiąt karabinów i dubeltówek, sto kos oraz zbieranina wszelkiego innego oręża. Do dyspozycji powstańców było też 110 koni. Nie utworzono jednak oddziału jazdy, tylko wykorzystywano je jako siłę pociągową oraz środek jazdy dla oficerów i funkcyjnych.

Przedstawiając życie obozowe w Kazimierzu autor szczególnie dużo uwagi poświęcił „obozówkom”, młodym kobietom, które znalazły się w obozie. Zajmo-

² E. Kozłowski, *Bibliografia powstania styczniowego*, Warszawa 1964.

³ *Wyjątki z pamiętników powstańca. Wyprawa na Niewikłe*, „Dziennik Warszawski” 1865, nr 101, s. 984–985.

⁴ S. Zieliński, *Bitwy i potyczki 1863–1864*, Rapperswil 1913, s. 223.



Grupa kosynierów. Portret ośmiu mężczyzn w strojach powstańczych, drzeworyt, autor nieznany. Reprodukcja za: A. Grochala, E. Milicer, K. Pijanowska, *Powstanie styczniowe w europejskiej ilustracji prasowej. Grafika ze zbiorów Krzysztofa Kura*, Warszawa 2014, s. 364



Narada dowódców oddziałów powstańczych w województwie lubelskim, drzeworyt nieznanego rytownika na podstawie fotografii Walerego Rzewuskiego. Reprodukacja za: A. Grochala, E. Milicer, K. Pijanowska, *Powstanie styczniowe w europejskiej ilustracji prasowej*. Grafika ze zbiorów Krzysztofa Kura, Warszawa 2014, s. 367

wały się wyżywieniem żołnierzy, dysponowały kasą, zabawiały oficerów, zasiadały nawet w sądzie wojennym. Według jego relacji, co jest zgodne z innymi przekazami, stanowiły element destrukcyjny życia powstańczego. W zawołowanej formie zarzucał im jednak złe prowadzenie się.

W historiografii słabo opisany jest interwał między dziejami puławiaków w Kazimierzu a samą bitwą pod Słupczą. Tę lukę wypełnia „Pamiętnik”. Drugi jego odcinek przedstawiał okoliczności i przebieg odwrotu oraz towarzyszącą temu atmosferę w wojsku narodowym. Jest to obraz bardzo pesymistyczny, ukazujący dezorganizację, kłótnie, bezhołowie, pogłębiający się upadek autorytetu dowódcy, brak planu działania. Oddział przestał tworzyć zwartą formację, a podzielił się na kilka grup o różnych, nawet wykluczających się, zamierzeniach.

Ratunek widziano w przedostaniu się na lewy brzeg Wisły, przejście w górę rzeki i w Zawichoście przedostanie się z powrotem na teren Lubelskiego. Za takim planem opowiadał się Frankowski i puławiacy. Zamierzali dotrzeć w okolice Janowa – Józefowa Ordynackiego, do tamtejszych lasów Puszczy Solskiej i utworzyć tam bazę operacyjną. Jednak powstańcy posuwali się coraz bardziej na południe przez tereny Powiśla w stronę Kamienia, gdzie znajdowała się kolejna przeprawa przez rzekę. Już na terenie województwa sandomierskiego oddział został przez Zdanowicza powtórnie uformowany na sposób wojskowy. Okazało się, że liczył wtedy 560 żołnierzy. Składał się z pięciu kompanii: jednej strzelców, dwóch kosynierów i dwóch pikinierów. Jak wynika z zestawienia ubytek powstańców był niewielki, biorąc pod uwagę fakt, że jedna „setka” podczas wycofywania się z Kazimierza przeprawiła się za Wisłę w okolicach Janowca i połączyła z gen. Langiewiczem.

Autor opisując „sandomierskie” dzieje oddziału koncentruje się na opisach wejścia i pobytu partii w poszczególnych miasteczkach i towarzyszącej temu atmosferze. Był to obraz niewymuszonej radości, gorącego przyjęcia, a nawet entuzjazmu tamtejszych mieszkańców, Polaków i Żydów. Jakby dla kontrastu z tym sąsiaduje opis nieudanej próby, podjętej w Solcu przez miejscowych notabli, nakłonienia Zdanowicza do rozpuszczenia oddziału. Krytycznym momentem dla jego istnienia był dzień 5 lub 6 lutego, który o mało nie zakończył się rozpadem, a to z powodu braku pieniędzy na bieżące wydatki. Sytuację uratował zwrot 25 000 rubli przez gen. Langiewicza.

Zupełnie rozczarowują opisy bitwy pod Słupczą i rozbicia powstańców, które ograniczają się do kilku zdawkowych informacji o nadejściu Rosjan i rozpoczęciu walki. Potem są już same ogólniki. Niewiele nowych wiadomości przynosi też relacja o sytuacji w Sandomierzu w momencie przybycia do miasta rozbitków z niedawnego starcia.

Wymowa całego opisu bitwy pod Słupczą jest zupełnie klarowna – potępienie powstania, które uosabiał naczelnik oddziału Zdanowicz. Autor zarzucał mu wiele, że „jadł dobrze, pił jeszcze lepiej, o patriotyzmie wyobrażenia nie miał, o bitwach nie marzył, przeciwnie, jak się pokazało później, znakomity tchórz, grosz narodowy krał cichaczem, by przy zdarzonej sposobności drapnąć cało i z dobrze nabitą kieszenią”. Według autora tylko on był winny rozkładu i niskiego morale oddziału. Z tą opinią można by się zgodzić w ogólnych zarysach, tym bardziej, że prawdziwa jest informacja o porzuceniu przez niego powstańców na samym początku bitwy pod Słupczą, gdyby nie generalna teza autora. Zdanowicz istotnie nie sprostał zadaniu, którego sam się podjął, ale też prawdą jest, że warunki, w których przyszło mu działać, przerosły go.

Treść „Pamiętników” wskazuje, że autor starał się w mniej lub bardziej zawołowanej formie zdyskredytować powstanie oraz jego przywódców i dowódców.

Opisując wypadki pod Niewiklem przytacza słowa chłopca weterana powstania listopadowego: „(...) mieliśmy wtedy [w 1831 r.] wojsko najlepsze w całej Europie, armaty i ludzi pełno wojsackich, a dziś co, z szydłem, motowidłem, a może niejeden z wrzecionem, śliczne mi pułki”. Atakuje zwłaszcza dowódców poszczególnych oddziałów, zarzucając im niezajomość sztuki wojskowej, niedołęstwo, prywatę i złodziejstwo. Szczególnie krytycznie należy odnieść się do ogólnych ocen sformułowanych przez autora. Świadczy o tym m.in. następujący *passus*: „kiedy głupota, oszukaństwo, zdrada, zgubiły powstanie, a naród i kraj zniszczyły z kretesem... my (...) płakaliśmy jak bobry i narzekaniem śmieszonym, jeremiadami o własnej niedołężności – zakrzyczeliśmy całą Europę”. Bierności i dyletantwu dowódców przypisywał klęski jakie spotykały powstańców. „Czyż można się dziwić – pisał – że tyle padło ofiar, że tyle skradziono narodowego grosza, że w końcu oddziały zebrane duchem patriotycznym, przerobiły się na bandy włóczęgów i wyrzutków społecznych? Plamy to niestarte w historii, wyrzuty obciążające sumienia wielu triumfujących we Francji i w Szwajcarii”.

Zdemoralizowanej armii powstańczej autor przeciwstawiał postawę żołnierzy rosyjskich, którzy niezwykle po ludzku obeszli się z dwoma powstańcami, z których jeden – jak im się wydawało – był zabity, a drugi – zapewne brat – opłakiwał go. Ujęci litością pozostawili ich w spokoju, co umożliwiło powstańcom zabranie z pola bitwy rannego Frankowskiego, bo to on był owym „zabitym” i przewiezienie go do szpitala w Sandomierzu.

Mimo tych i innych zastrzeżeń wydawca jest zdania, że tekst należy udostępnić zainteresowanym. Przemawiają za tym zaprezentowane fakty, niekiedy nieznanne z innych źródeł, a po wtóre, „Pamiętniki” są obrazem poglądów części społeczeństwa polskiego, tego, które było przeciwne powstaniu.

Przy przygotowywaniu tekstu do druku dokonano w nim niewielkich zmian, a mianowicie uwspółcześniono pisownię zgodnie z obowiązującymi obecnie zasadami. Zaopatrzone go też w niezbędne przypisy. Ponieważ autor również zaopatrzył swój tekst w przepisy – pozostawiono je więc w niezmienionej formie dodając przy każdym z nich informację, że pochodzi od autora „Pamiętników”.

Wyjątki z pamiętników powstańca. Bitwa pod Słupczą⁵ d[nia] 8 lutego 1863 r.

Partyzantka trwała już blisko miesiąc, kiedy dobiegły do Warszawy wieści o rozproszonym oddziale powstańczym pod wsią Słupczą przez podpułkownika Miednikowa.

Pierwszy to był oddział większy, zorganizowany w okolicach Lubelskiego, liczonego na 3.000 głów, jak wieści krążyły; w początkach nawet odznaczył się kilkoma śmiałymi wyprawami, a że punkt taki jak miasto Kazimierz obrano sobie za główne stanowisko, wnioskować należało, że w tej stronie silnie stanie ruch narodowy⁶. Do rozgłosów podobnych wiele przyczyniło się zabranie pod m[iastem] Kurowem wagonu pocztowego z pieniędzmi około 48 tysięcy rubli, ale że wszystko z daleka wydaje się olbrzymim i nadzwyczajnym, łatwo domyśli się każdy ile prawdy mieściło się w przesadzonych opisach.

⁵ Mała wioska w guberni radomskiej, sześć wiorst od miasta Sandomierza.

⁶ Działalność oddziału puławskiego w Kazimierzu dokładnie zreferował historyk lubelski Józef Tomczyk, zob. J. Tomczyk, *Przywódcy powstania styczniowego w Lubelskiem i na Podlasiu: Leon Frankowski, ks. Stanisław Brzóska*, Lublin 1992, s. 45–56.

Naprzód siła ogólna powstańców w samym początku założenia obozu wynosiła 40 ludzi, a w czasie od którego zaczynam, doszła do 700 głów. Wyprawy owe ograniczyły się na wzięciu kilku kozaków do niewoli i zabiciu dwóch żandarmów patrolujących. Nadto, długi czas wszyscy rządzą się wspólnie, dopiero w połowie jakos rozpoczętej w r[oku] 1863 partyzantki, komisarz wojenny pan [Leon] F[rankowski] obrał wodzem [Aleksandra] Zdanowicza, byłego burmistrza m[iasta] Markuszowa, poprzednio oficera [rosyjskich] wojsk regularnych. Garstka tedy ludzi, zwiększała się co dzień nowo zaciężnymi, wkrótce doszła do liczby 300. Ulokowano się w wąwozach około m[iasta] Kazimierza i w samym mieście i zaczęto zwołać na zbierać w okolicy broń oraz kosy. Kiedy już cokolwiek z orężnych przyborów ściągnięto do obozu, Zdanowicz zamianowany został „naczelnikiem sił zbrojnych województwa lubelskiego”, a oddziałek przybrał nazwę: „oddziału lubelskiego”. Podzielono go na setki i dziesiątki, wyznaczono setników i dziesiętników, adiutantów służbowych, a nawet sztab generalny. Żołd na każdego liczył się po złp. dwa [dziennie], prócz tego codziennie: funt mięsa, bochenek chleba, miarka krup i kwatka wódki. Kwatery rozpisano w mieście. Urządzono straż, odwach, posyłkowych, kurierów i innego rodzaju *potrzebnych i niepotrzebnych* [kursywa autora].

Wreszcie nadjechały i jakieś panie z Warszawy czy z Lublina, a tak oddział kompletował się widocznie; raporty składane wyższej władzy brzmiały szumnie, siarczyście; Lubelskie przykładem było dla innych.

Naczelnik wódz mieszkał u swego teścia Zdanowicza, obok jego pokojów wierna straż, adiutanci i przybyły *fracymier*. Spyta się niejedną, co mogły robić kobiety w obozie? Łatwa odpowiedź, zarządzały wewnętrznym gospodarstwem, stanowiły jego część estetyczną, były owym cieniem i światłem, duszą i potrzebą, pociechą i nagrodą. Dlatego też one zajmowały się rozplątą żołdu, przygotowaniem kokard narodowych dla *starszych*, obiadami dla naczelnika i sztabu, a nieraz, nieraz... niewinne i naiwne rozmowy synogarliczek rozweselały posmutniałych zwierzchników.

Obecność kobiet w obozie jest koniecznie potrzebna, już choćby dlatego, żeby wykazać Europie wycywilizowanie się narodu marsowego i okazać światu, że nawet wśród bojów i walk, Polak czci i szanuje matki swego narodu – a może, może... jako dowód żyjący prawdziwego sarmatyzmu, w amazonkach krynolinowych. Koniec końców, od czasów niepamiętnych kobiety grały rolę prawdziwych wojowników... dowodem zawojowani mężowie; stanowiły najwydatniejszą stronę i warstwę narodu, posiadając przywileje nadawania szlachectw... ileż tu u nas herbu *Rogala!*

W ostatnich czasach, w partyzantce... panowały i podpisywały wyroki śmierci, najwyższe piastowały urzędy, były wszystkim... oprócz *tym, czym być powinny!*

W obliczu owych niebiańskich istot; krew się nie lała, więcej podobno... wino; krwiożercze chęci synów Marsa ścichały zwoła... uciekaliśmy jak nigdy... kiedy głupota, oszukaństwo, zdrada, zgubiły powstanie, a naród i kraj zniszczyły z kretesem... my za przykładem naszych przewodniczek... płakaliśmy jak bobry i narzekaniem śmiesznym, jeremiadami o własnej niedołężności – zakrzyczeliśmy całą Europę.

Naczelnik z paniami zarządzał kasą; było gotówką wówczas *siedemdziesiąt pięć tysięcy rs.* Kasjer miał rolę dość czynną, gdyż obawiając się zwałania cudownie białej rączki kasjerki, najświeższe dziesiątki wybierał i najnowsze rublowe papierki musiał z obowiązku dostarczać. Do niego przy tym należało zmieniać grubsze papiery na drobne, unikając najstarszej miedzi, lub podartych rubli, które też zostawały przy nim na kieszonkowe wydatki.

Błogie czasy, gdzieście minęły!

Porządek obozowy urządzono w ten sposób: o godzinie 8-ej rano obozówki płaciły żołąd, o 9-ej dziesiątnicy zabierali do rozdziału żywność z magazynów, o 10-ej musztra, o 1-ej obiad, o 3-ej znowu musztra, od 4-ej szeregowcy mieli czas wolny do swego rozporządzenia aż do rana. Dla sztabu i innych dygnitarzy, były to chwile obowiązkowe procentowania się płci pięknej, gdzie w obecności naczelnika piło się herbatkę, jedzono szyneczkę, półgęski, ciastka; w przerwach toczyły się wykłady partyzantki.

Najzabawniejsza wszakże bywała musztra. Na trawnikach, poza miastem, od strony Wisły, występowały setki w komplecie ze swymi dowódcami, stawiano i przestawiano *żołnierzy-rekrutów*, krzyczano i goniono się z hałasem, zwijano niby kolumny, rozciągały się długie linie mniemanych tyralierów... z kosami; narobiwszy tym sposobem dużo kurzu, a jak po deszczu... błota – wracano do kwater. Takie odbywały manewry setki; do tego rano – po obiedzie szlachetniejsza część pułku, bo sama *inteligencja*, musztrowała się pod naczelnikiem. Zdanowicz regulaminu polskiego nie umiał, według rosyjskiej komendy zrozumianym być nie mógł, otóż krótko trwały podobne popisy: *W prawo! w lewo! do nogi broń! Na ramię broń! I... marsz!* do domu, kto może najprędzej.

Sieczną broń, jak kosy, miało zaledwie stu: co do palnej, tej zbyt szczupło rozdzielono po szeregach, zaledwie starsi opatrzeni byli w pałasze, karabiny kozackie i strzelby myśliwskie. O robieniu ładunków nikt nie słyszał, bo i proch należał do osobliwości. Niektórzy z myśliwych w torbie znaleźliby po rożku prochu, ale cóż znaczyła taka bagatelka na 700 ludzi? Pikiety więc i wszelkie stráže trzymali po drogach kosynierzy, na dalsze tylko punkty posyłano z bronią. Lecz kiedy raz w nocy, jakiś młody chłopak, przeoczywszy się palnął do krzaka z dubeltówki, czym całe miasto zaalarmował, odebrano broń palną – pikiety dalsze zaś obsadzono konnymi.

Oddział Zdanowicza konnicy nie posiadał zupełnie, chociaż 110 koni jadło owies przy żłobach; [mieli ją] adiutanci tylko, sztab, a później i setnicy jeździli konno. Wozów czterokonnych było siedem, na których przewozić się miały magazyny, miedź i różne przyrządy kuchenne zabrane w Puławach oraz gratki i manatki niektórych dygnitarzy.

Pod względem materialnym żaden w całym powstaniu oddział nie był tak uprowidowany⁷ i żaden też tak nędznej nie miał przyszłości, żaden takich strat nie poniósł.

Urządziwszy się wewnętrznie, Zdanowicz postanowił poświęcić broń. Bo dopełniał, o ile mógł, formalności koniecznych i zabawiał nas od dnia do dnia, ale o wojnie nie myślał zupełnie. Staliśmy już dni piętnaście⁸ na jednym miejscu, w dostatku wprawdzie i wygodzie, ale też i w próżniactwie bezowocnym. Poczęły się sarkania, niechęci, szczególniejszej puławiaków, którzy jako młodzi, pragnęli się czymś zająć lub wreszcie rozejść się do domów. Wieczorki u naczelnika i ta zgraja *obozówek* nie wróżyła nic dobrego na przyszłość, Zdanowiczowi coraz większe rośły rogi, nikogo za nic nie miał, podobno i do faszeczek zaglądał zbyt często.

W wigilię dnia poświęcenia dotąd jasny horyzont począł się zaćmiewać. Jakiś przyjechał jegomość i wnet rozbiegły się wieści o spodziewanych Moskałach. Rozpowiadano, że od Kurowa ciągnie ich straszna masa, i że niezawodnie najdalej jutro nadejdą. Jegomość wspomniany zaklinał Zdanowicza, żeby ściągnął promy na brzeg, żeby się miał na ostrożności, ale ten ani chciał słuchać rozsądnych uwag,

⁷ Aproprowidowany – dobrze zaopatrzony w prowiant.

⁸ Informacja fałszywa, obóz w Kazimierzu istniał od 22 stycznia do 1 lutego, do godziny 11, a trzy godziny później miasto zajęli Rosjanie.

owszem, przestrzegającego zwymyślał i pociągnął sobie porządnie do poduszki.

Komisarz wojenny tym razem podrwił głową, zbyt zaufawszy byłemu burmistrzowi, który między nami mówiąc, jadł dobrze, pił jeszcze lepiej, o patriotyzmie wyobrażenia nie miał, o bitwach nie marzył, przeciwnie, jak się pokazało później, znakomity tchórz, grosz narodowy kradł cichaczem, by przy zdarzonej sposobności drapnąć cało i z dobrze nabitą kieszenią. On to, zapewne w widokach swoich zaprowadził dziwny zwyczaj, zabezpieczając niby kasę, że otaczającym go pasożytom pewne sumy do schowania wydzielał, sam zaś zawsze około 25 tysięcy rubli gotówką nosił. „Przynajmniej, w razie napadu, cokolwiek uratujemy; przecież wszystkich nie ubiją”.

W dniu oznaczonym na poświęcenie zebrały się wszystkie setki w kościele, odprawiono mszę w asystencji dwóch setników, którzy stali przy wielkim ołtarzu z rozwiniętymi sztandarami. Po stosownej, choć niezbyt rażnej przemowie, poświęcono chorągwie, broń zaś zostawiono na później, do czasu zupełnego skompletowania.

Wiść o zbliżającym się nieprzyjacielu stwierdzała się z każdą godziną, przyszło do takiej pewności napadu, że komisarz stracił głowę, a Zdanowicz też wcale sobie głowy nad tym łamać nie chciał. Zebrano radę wojenną⁹. Wiele było głosów za oporem w mieście, lecz naczelnik nie zgodził się, dowodząc, że to *partyzantka* (czemuż nie uciekinierka?) – niektórzy radzili zebrać promy i lepiej o sile zbliżającej się przekonać; inni znowu zasłyszawszy o generale (?) Langiewiczuz uważali za najwłaściwsze pod jego opiekuńcze udać się skrzydła. P[an] F[rankowski] sam opierał się przy udzielonym mu mandacie i życzył sobie pomanewrowawszy cokolwiek za Wisłą, jeżeli się uda wywinąć pogoni, przepawić się pod Zawichostem przez Wisłę i rozłożyć obozem w lasach około Józefowa lub Janowa w Lubelskiem, skąd na dobre można urządzać wycieczki zbrojne.

Projekt ostatni stanowczo zatwierdzono, na pociechę naczelnika, który mógł śmiało do tego czasu bawić się w papierowego rycerza i winko pić garncami.

Nieszczęście mieć chciało, że skoro tylko szanowna rada oddaliła się z obrad wojennych wpadł kurier z najmniej spodziewaną nowiną: „Moskale o pół wiorsty od Kazimierza!” Dopiero rwetes, krzyk, hałas; panie co tchu pakują swe jubki i manatki, komisarz każe zabierać magazyny; naczelnik upatruje najdalszego w pokoju, gdzie zapasik spoczywał wódczany; setnicy siodłają sami konie; w mieście alarm ogólny, wynoszą co droższe sprzęty do piwnic; kosynierka rada drapnąć; kilku pobiegło po promy nad Wisłę. Ucieczka generalna. Ale gdzie? Prosta rzecz za bory, za lasy. Że zaś bór daleki, właściwie za wodą, woda zaś tuż pod nosem, więc za wodę. A tu nie ma promów - zaledwie jeden wynaleziono - strach pędzi wszystkich nad brzegi Wisły, przecież jakoś przy natężonym usiłowaniu porządek utrzymano. Wymaszerował tedy oddział pożegnany łzami przez jednych, przekleństwami przez drugich. Dziesiąta setka (gdyż wszystkich było dziesięć, choć niekompletne) wraz z kasą wsiadła naprzód, reszta oczekiwać miała na przewóz dopóki by nie ściągnięto więcej promów. Lecz w prędko zamiar odmieniony został, bo oto już słychać strzały w mieście, niedługo pędzą konne placówki, za nimi coś szarzeje w dali, nie czekając więc niepotrzebnych objaśnień wozy poszły naprzód, Zdanowicz na koniu pomknął ku Polanówce, my za nim. Szczęściem piechota zajęła się przeprawiającymi [powstańcami], mieliśmy zatem czas umykać co żywo, bo dusza była na ramieniu.

Naczelnik [Zdanowicz] dopadłszy lasku niedaleko od Kazimierza, chciał stawiać barykady, narażając ludzi na niepotrzebną robotę, a może i zgubę oczywistą.

⁹ Radę wojenną zarazem sąd składali: komisarz, naczelnik, panie obozowe i czterech setników.

Oparli się [temu] jednak nielogicznemu projektowi dowódcy i marsz poszedł zwykłym porządkiem.

Wieczór zapadał, kiedy niekiedy słychać było dalekie bardzo strzały, ale gościć nas widać nie chciano, czy też uważano za głupstwo bić się z garstką bezbronną.

We wsi Polanówce nastąpił spoczynek i tu dopiero Zdanowicz jakoś przyszedł do głosu. Piorunował, krzychał, wymyślał od tchórzów, niedołęgów, że mogliśmy się bronić w mieście, zgnieść drobny oddział moskiewski: „ja wiem kto oni i ja byłem oficerem!” Zwykle przechwałki bohaterów papierowych! Komisarz chcąc widać uspokoić naczelnika, a może i podnieść w oczach naszych, gdyż marsz z Kazimierza całkowicie pozbawił Zdanowicza zaufania żołnierzy, prosił go o dalszy plan postępowania. Zaskoczony znieścacka zgłupiał na dobre; gdyż okolicy tej zupełnie nie znał, a prędzej podobno trafiłby do karczmy jak do miejsca, gdzie by zbrojnie i dzielnie, jak na żołnierza przystało, mógł stawić czoło wrogowi.

„Idźcie, gdzie chcecie, rzekł z pasją, nie znam tchórzów! Co mi tam kupa z kijami, dajcie mi karabiny i żołnierzy, zobaczycie co umiem!”

Nie trzeba było więcej. W tak drażliwej chwili, jak powstanie, w tak ważnej okoliczności jak bezpieczeństwo kilkuset ludzi, robić wyrzuty wszystkim, znaczyło, samemu oskarżać się o niedołęstwo; zresztą szanowny wódz nie odznaczał się taktownym postępowaniem i nieraz zakropiwszy się wódeczką, po rusku wymyślał najordynarniejszymi wyrazami. Stało się więc [to], co przewidywano. Obóz rozdziwił się na niechętnych i malkontentów; pieczeniарzom podobał się marsz syty i obfity, ze Zdanowiczem było im jak w raj, puławiacy pragnęli bitwy; inteligencja, słowa dowódcy wysławiała pod niebiosa, domagając się bezwarunkowego posłuszeństwa *plebsu*, komisarz znowu stosownie do planów przynaglał do jak najspieszniejszej przeprawy przez Wisłę. Spierano się, kłócono, a czas uchodził. Już późno w noc umysły uspokoiły się cokolwiek, zdawało się nawet, że wróciła harmonia, postanowiono iść ku Kamieniowi, gdzie najprędzej promy znaleźć (!) można. Ruszyliśmy; brak był wielki. Puławiacy oddzielili się i poszli ku Wąchockowi, mieszkańcy Kazimierza wrócili do domów, [my reszta] szliśmy niepewni jutra, czy znowu po jakiej kłótni połowa nie ubędzie. Każdy radził nad dobrem ogółu a nikt do tego dobra ręki przyłożyć nie chciał; z oddziału partyzanckiego zrobił się zastęp jakiś sejmikowców, szczęściem, że się jeszcze nie rąbali zwyczajem naszych poprzedników.

Droga była uciążliwa, bo to po samych piaskach, po wybrzeżach wiślanych. Nareszcie dotarliśmy do upragnionego Kamienia.

Promów znalazło się dwa, jedni zatem spoczywali gdy drodzy zwolna przeprawiali się na drugą stronę. Wódz był jednym z pierwszych. Około godziny 8-jej roztoczyliśmy się na błoniu przeciw m[iasta] Janowca¹⁰. Znużeni wielce, głodni i przeziębli, ratowaliśmy się mlekiem, wódką i innymi przysmakami małej karczemki. Niektórzy, mniej uważni na żołądek spać się pokładli. Utrudzenie było tak wielkie, że jeden z setników zdrzemnąwszy się, z własnego rewolweru nogę sobie przestrzelił.

Zdanowicz rozkazał wypłacić dwudniowy żołd wszystkim i wtenczas to zniknął ćwierciowy worek z dziesiątkami, a aż w Krakowie wypróżniać się zaczął. Uwinął się z nim jeden z pieczeniарzy sztabowych, który wiecznie bryczką jeździł i cudowny miał instynkt odszukania dobrej kuchni. Po rozbiciu zaś pod Słupczą, przeszedł do Langiewicza i tam spełniał obowiązki pomocnika naczelnika generalnego sztabu.

¹⁰ Pomyłka autora, powinno być Solca. Ta pomyłka jeszcze się powtarza.



Leon Frankowski (1843–1863)
Reprodukcja za: S. Strumph Wojtkiewicz, *Powstanie styczniowe*, Warszawa 1963, s. 39



Krzyż powstańczy. Reprodukacja za: S. Strumph Wojtkiewicz,
Powstanie styczniowe, Warszawa 1963, s. 30

Po dwugodzinnym przeszło spoczynku, z rozwiniętymi sztandarami, oddział wkroczył do m[ia]sta Janowca. Tu przyjęci serdecznie przez obywateli, bo i któżby nad obdartymi i zgłodniałymi litości nie miał, przebyliśmy noc i dzień. Mimo oznak radości mieszkańców, wielu znalazło się przeciwnych ruchowi, a głównie przeciwnych naczelnikowi. Dlatego też zebrała się deputacja miejska i temu [naczelnikowi] w wyrazach delikatnych radziła rozumnie odstąpić od planów niedorzecznych, ludzi na próżną zgubę nie narażać, a przynajmniej, w najgorszym razie, złączyć się z oddziałem Langiewicza i jego rozkazom poddać. Zdanowicz uniósł się, o! do gadania i chwalebny był jedyny w świecie człowiek, nakrzyczał, natupał nogami i radcom drzwi pokazał. Co go mógł obchodzić oddział, co życie kilkuset ludzi, kiedy miał pieniądze przy sobie i konno po przedzie jeździł? Nawet nosił burmistrzowski mundur i w razie nieuchronnego niebezpieczeństwa, gotowe znalazłby tłumaczenie: „Jestem burmistrz zabrany przez powstańców”.

Niespodzianie, nad wieczorem, wyszedł rozkaz marszu do wsi Krępa.

Doprawdy śmiesznym jest podleganie cierpliwe ciemiedze i zdrajcy; przetrzącał oddziałem jak piłką, a owce szły i szły bez celu. Czyż można się teraz dziwić, że tyle padło ofiar, że tyle skradziono narodowego grosza, że w końcu oddziały zebrane duchem patriotycznym, przerobiły się na bandy włóczęgów i wyrzutków społecznych? Plamy to niestarte w historii, wyrzuty obciążające sumienia wielu tryumfujących we Francji i w Szwajcarii.

W Krępem Zdanowicz ulokował się wygodnie i swoich też substytutów pomieścił obok siebie. Lecz tu niespodziewany czekał go przysmaczek. Zaledwie bowiem zastawiono stoły jadłem, gdy ordynans melduje czterech szeregowców mających ważny interes do jaśnie wielmożnego naczelnika. Kazał ich wpuścić. Byli to uczniowie ze szkoły puławskiej. Zobaczywszy puławiaków, krzyknął:

– „Co chcecie tutaj?”

– „Prosimy o rozmowę na osobności!”

– „Jak? Nie mam nic skrytego przed sztabem, sprzeciwia się podobna rozmowa regulaminom wojskowym. Gadajcie! słucham!”

– „Wolno o wszystko pytać naczelnika?” – rzekli cokolwiek zmieszani.

– „Gadać i dosyć, tylko prędko bo mi się jeść chce”.

– „Przyszliśmy zatem, zapytać naczelnika, gdzie idziemy i kiedy skończymy to włączenie się po drogach?”

– „Idziemy naprzód!”

– „Bardzo dobrze, podobno już drugi tydzień idziemy naprzód, a właściwie cofamy się zamiast bić się”.

– „Cóż to, rozkazy mi dajecie?”

– „Nie, przeciwnie, prosimy o wytłumaczenie się, gdyż jesteśmy delegowani oddziału, jaki ma cel marsz baz najmniejszej taktyki, nużący ludzi na próżno”.

– „Poszli won!” – krzyknął Zdanowicz.

– „Za pozwoleniem, pan nie jesteś praporszczykiem, ale wodzem oddziału polskiego...”

– „Ach wy *mierzawcy, skatiny*, won! won!” i wściekły złapał jednego za ramię.

Gdyby się był nie usunął, najniezawodniej skończyłoby się policzkiem.

Jeden z pokrzywdzonych pochwycił Zdanowicza za rękę i imieniem kolegów wyzwał na pojedynek, zaręczając, że nikt z nich już nie jest żołnierzem od niego zawiśłym. Podobne postępowanie nie zgadza się z wielkim celem do którego dążymy.

Deputacja wyszła.

W obozie powstało straszne zamieszanie i powtórnie rozdzielono się na niechętnych i tolerujących gburowatość dawnego burmistrza.

Zdanowicz skoro się dowiedział, że kilkuset ludzi ma zamiar odejść do Langiewicza, zwołał setników. Tym się tłumaczył, płakał, wszelkiego rodzaju komedie odgrywał, aż nareszcie harmonię jaką taką przywrócił i nakazał marsz do m[iasta] Lipska¹¹.

Jak powiadam, harmonia przywrócona została, wypadek jednak ten całkowicie zniszczył dobrą opinię o Z[danowiczu] i nikt mu nie wierzył, nawet bardzo mało na rozkazy uważał.

Do Lipska przyszedł oddział późno; uderzono w dzwony, zdarto orła rosyjskiego z domów, gdzie były władze rządowe i ogłoszono powstanie generalne. Mimo pompatycznego hałasu nikt się prawie do szeregów nie zgłosił. Oddział rozszedł się po kwaterach. Dowódca otrzymał bardzo dobre pomieszczenie, gospodarz miał dwie córki patriotki, które nie wiedziały jak ugościć obrońców ojczyzny. Kolaćja wystawna z dobrem do tego winem tak rozochociła panów dygnitarzy, że dalejże w tany! Śpiewy i hulanka trwały całą noc, zwłaszcza że i z sąsiednich domów, nawet co porządniejszego z całego miasta, zbiegło się na ucztę. Oprócz uścisków drobnych rączek, powabnych uśmiechów a nawet... nawet... całusków i. t. d., każdy z setników ubrany został w kokardę na ramieniu. Bawiono się wybornie, bo jakże nie korzystać z gościnności serdecznej, jakże nie przycisnąć do męskiej (!) piersi wonnego kwiatu z ojczystej niwy, co sypie perły przed...! *Zapał fanatyczny, entuzjazm i... słabość ducha, oto godło nasze!*

Na drugi dzień Zdanowicz, chcąc widać zagładzić złe wrażenia w oddziale, wydał rozkaz zebrania się wszystkim na rynku. Nastąpił podział wojskowy i cały oddział zreorganizowany został: utworzono z niego jedną kompanię strzelców, dwie kosynierów i dwie pikinierów. Oficer dowodzący kompanią mianował się kapitanem, a miał przy sobie dwóch oficerów skrzydłowych. Sformowano nadto szwadron kawalerii z dwunastu ludzi, pod dowództwem jednego z adiutantów. Zdanowicz tedy podwyższony do stopnia pułkownika; że wtenczas jeszcze nie rozdawano nominacji, sam więc ją sobie napisał. Ogółem było ludzi razem z generalnym sztabem, kawalerią, pieczeniarczami, intendentami, koniuszymi, 560. Broni palnej [było] sztuk 70.

W ten sposób urządzony pułk, wymaszerował nad wieczorem do m[iasta] Ożarowa¹². W Ożarowie znowu dobiegły niepokojące wieści o nieprzyjacielu, a mianowicie, że się przeprawili przez Wisłę i tuż idzie za nami. Po krótkiej naradzie, cofnięto się na powrót do Lipska. W Lipsku, wieści ucichły i naczelnik też odpocząć postanowił. Rozkwaterowano zaraz wszystkich po domach, a że pieniędzy brakło, [dlatego] delegowano czterech [żołnierzy] do tamecznego księdza proboszcza, aby od niego parę tysięcy rubli wydobyć. Ksiądz jednak zrzęcznie się wywinął i tylko kilkanaście korcy owsa przysłał dla koni.

Zdziwi zapewne niektórych, dlaczego mimo tak obficie wypełnionej kasy, już w Lipsku pieniędzy zabrakło. Otóż rzecz się miała w ten sposób, że kiedy z Kazimierza wyparli nas Rosjanie, kasjer z kasą i całą dziesiątą setką przewiózł się promem przez Wisłę i w krótkim czasie pod m[iastem] Wąchockiem¹³ z Langiewiczem się połączył, oddawszy temu jako generałowi znajdujące się w kasie pieniądze, a to jedynie w tym przekonaniu, iż, jak był projekt, reszta oddziału wkrótce nadejdzie. Rzeczy inaczej poszły i cały projekt upadł. Zdanowicz natychmiast z Janowca wysłał kurierów po pieniądze, lecz generał oddać nie chciał. Takie certacje trwały długi czas, Zdanowicz zaklinał się na słowo honoru, że ani grosza nie ma przy sobie.

¹¹ Miasto niedaleko Solca.

¹² Ożarów – miasto niedaleko Opatowa.

¹³ Wąchock – miasto niedaleko Starachowic.

Kilka tysięcy rubli, które miał komisarz, wyszły; raptem więc zostaliśmy bez grosza. Z kas rządowych ledwie kilkaset rubli zebrano. Ksiądz, jak wspomniałem wyżej, od podatku przymusowego wykręcił się *owsem*, dygnitarze choć mieli pieniądze, dać nie chcieli, już raz ze względów czysto osobistych, zachowawczych, już drugi raz, że nic życzyli sobie jawności, jakoby paluszki maczali w cudzej własności: jednym słowem straszny był hałas, harmider i strach głodu. Skoro się dowiedziano o braku funduszków, wielu emigrowało... za granicę, wielu postanowiło wrócić do domów, kto miał grosze, łatwo się z obozu wysliznął, więc na biednych się skrupiło. Trzech bowiem mieszkańców m[iasta] Kazimierza schwytano na gorącym uczynku [dezercji] i skazano na śmierć przez rozstrzelanie. Na śmierć za to, że nie chcieli żyć na cudzej łasce lub z głodu umierać! W tym celu o godzinie 10-ej rano ustawiły się wszystkie kompanie na rynku, przeczytano publicznie wyrok skrzepowanym za ręce winowajcom i wystąpiła jedna sekcja strzelców z nabitymi karabinami. Wyrok nikomu się nie podobał, a położenie Zdanowicza pogorszył, bo do tchórzostwa dołączył jeszcze *okrucieństwo!*

Jak zwykle na małym mieście, ludność [była] przeważająca żydowska. Otóż na rynku zgromadziło się mnóstwo synów Izraela, skoro zobaczyli występujących z karabinami strzelców, wielki nastał hałas, poczęli zmykać, przewracać się jeden przez drugiego, a gdy jeden z żołnierzy, naturalnie nieumiejący obchodzić się z bronią, w powietrze, przy opuszczaniu kurka, wystrzelił, kilka Żydówek zemdlało, męskie zaś pogłowie, zrzućwszy czapki i krzycząc: „*Pifnął! Zabil!*” co tchu pomknęło za miasto.

Strzał głównie nastąpił z tej przyczyny, że Zdanowicz spojrzawszy po ludziach cofnął wyrok niesłuszny, ale jednak chciał utrzymać powagę wodza i odznaczyć się wspaniałomyślnością. Zakomenderował więc: *Odbój!* Wielu nie rozumiejących komendy poczęło spuszczać kurki, jedni dość zręcznie, drudzy po prostu nasuwając je na brandki bez względu, że karabiny wymierzone mieli ku ludziom. Kapsle i proch, nawet ładunek cały, zamokły po większej części. Temu więc przypisać należy, że się tylko na jednym wystrzale skończyło.

Ułaskawieni winowajcy śmieli się razem z innymi z pogłupiałych Żydów, pan naczelnik zaś, nie powiedziawszy nic podkomendnym, dużym krokiem, z podniesioną głową, udał się na śniadanie. Dla nas reszty była zanadto wyraźna komenda.

Czyn wspaniałomyślny nagrodzony został, bowiem niezadługo zjawili się posłańcy od Langiewicza i kasę przywieźli, którą sam naczelnik przeliczył, powiadając, że jest tylko 30 tysięcy rubli i te do pugilaresu schował. Podreperowawszy gardła smacznym śniadaniem, a kieszenie świeżym groszem, ściągaliśmy pikiety i wróciliśmy do m[iasta] Ożarowa. Tu spełniła się ostatnia uczta Lukullusa i orgia Heliogabala, ranek zastał wszystkich śpiących, pan naczelnik nawet był... pijany!

Przyszliśmy nareszcie do wypadków, które w całej nagości wystawiają niedołężność panów dowódców, niedbalstwo komisarzy, a nawet lekceważenie Rządu Narodowego całej sprawy. Od puszczenia samopas w lasy Zegrzyńskie w d[niu] 15 stycznia 1863 r. do obecnej chwili wszędzie jednakowy brak broni, wyraźne oszukaństwo i wyczekiwanie jakiegoś, czy na stanowcze rozproszenie nieszczęśliwych obłąkańców, czy na pomoc duchów nadziemskich wedle mistrza Towiańskiego.

Dowód żyjący w Zdanowiczu, który jadł i pił i o zdradzie od początku myślał, może go tylko od takowej wstrzymywała obecność komisarza.

Ranek zajaśniał piękny, potem schmurzyło się niebo, w powietrzu była duszność, w sercach tęsknota za Warszawą; muzyka żydowska grała narodowe śpiewy, cały sztab przepity podniósł się z łoża, nawet naczelnik długie swe cielsko na koniu sprezentować raczył. Wyszliśmy szosą ku m[iastu] Zawichostowi. Konie strzygły

uszami, masy kawek przeciągały nad oddziałem, jeńcy iść nie chcieli i jako starzy żołnierze przepowiadali bitwę; Zdanowicz też ze swoimi adherentami trzymał się na przedzie, z daleka od oddziału, z miarowego kroku przeszliśmy do kłusa – jakaś gorączka paliła wszystkich, strach, może co innego, pędziło naprzód. Żydzi jakby na złość grali: *Jeszcze Polska nie zginęła*, zdawało się jakby szatan siedział gdzieś na uboczu i wyśmiewał się z głupiej ucieczki, z niedołączonej wyprawy. Odpędziliśmy pałaszami skrzypicieli.

Z daleka widać było przelatujących po polach konnych chłopów Bóg wie za czym posłanych. Do Zdanowicza coraz nowi dobiegali posłańcy i o zbliżającym się nieprzyjacielu zawiadamiali.

Dotarliśmy wreszcie do m[ia]sta Zawichostu. Tu o przeprawie myśleć niepodobna, spoczynku wzbroniono, a na domiar wszystkiego wielki Zdanowicz nie chciał iść boczną drogą ku Sandomierzowi, ale wprost traktem. Deszcz lał porządny, w glinie, owej sławnej glince sandomierskiej, konie i ludzie grzęzli, wozy zapadały. Kompania strzelców tuż postępowała za Zdanowiczem, kompanie dwie kosynierów może o wiorstę od niej, pikinierzy zaś prowadzili jeńców. Oddział ciągnął się, a raczej włókł się wolno, tak że już naczelnik ze sztabem zmiotł porządną porcję szynki w Słupczy we dworze, kiedy ostatnia kompania nadeszła.

Położenie miejsca wielce sprzyjało walce. Dwór wznosił się na górze – po dole szła droga ku Sandomierzowi zasłonięta wzgórzami – z lewej strony dworu ciągnęły się pola, a dalej jeszcze w lewo wąwozy i krzaki. Oddział rozlokował się sam, bo nikt oń nie dbał, nie postawiono ani pikiet, ani wedet, nawet wszyscy oficerowie byli we dworze. Wozy stały przy stodołach na dole, jak niemniej jeńcy i cała piąta kompania pikinierów – reszta zaś rozłożyła się po górze i obok dworu, więcej myśląc o odpoczynku, jak o spodziewanej bitwie.

Naraz z za wzgórza wysuwa się siedmiu kozaków z oficerem na czele, którzy widać rozpoznawszy oddział [powstańczy], uciekli. Straszne zrobiło się zamieszanie w całym pułku naszym. Zdanowicz z kawałem szynki w rękę, krzyknął o konia i w oka mgnieniu z sześcioma swoimi zaplecznikami drapnął do Sandomierza.

Kompanie ścisnęły się na górze, zostawiając i wozy, i jeńców, na dole. Za ledwie ostatni [powstańiec] wszedł na górę, gdy oto tyralierzy [rosyjscy] sypnęli ognia, rozstawiwszy się na polach naprzeciw dworu. I my także daliśmy ognia z dubeltówek; śmieszna zabawka starych głupców mierzyć się ze sztucercami bijącymi na 2.000 kroków¹⁴. Po pierwszych strzałach, kiedy ze strony nieprzyjaciół żaden nie zginął, a w naszych szeregach padali, strzelcy rzucili broń, kosynierka kosy, pikinierzy pikie i przedstawił się okropny widok ucieczki bez ładu¹⁵.

Zamilczę o tym; serce pęka na wspomnienie, ile ludzi padło marnie¹⁶, bez celu, ile rodzin rozerwanych, ile matek oplakuje synów. O przekleństwo im, za uwiedzenie haniebne, za niewinną krew!

¹⁴ Widzieliśmy wyraźnie jak kule nie osiągały połowy dystansu – cóż więc było robić z strzelbą na ptaki – bawić się, gdy śmierć w oczy zagląda, lepiej uciec, i tak i tak nie mieliśmy pardonu [przyp. aut.].

¹⁵ Autor dyskredytuje powstańców. Nie było tak fatalnie jak sugeruje autor. Bitwa pod Słupczą trwała około godziny. Szerzej o jej przebiegu zob. W. Śladkowski, *Bitwa pod Słupczą 8 II 1863 r.*, w: *Książki i historia: księga jubileuszowa ofiarowana dr. Zdzisławowi Bieleniowi z okazji 50-lecia nieprzerwanej pracy w Bibliotece im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie*, red. Ż. Ciuruś, Lublin 2008, s. 183–189.

¹⁶ Według ustaleń W. Śladkowskiego ogólne straty pod Słupczą wyniosły 36 zabitych i 19 rannych oraz 31 wziętych do niewoli, zob. W. Śladkowski, dz. cyt., s. 189.

Prawie wszyscy oficerowie gdzieś zniknęli, komisarz wojenny [Frankowski] i jeszcze jeden niejaki M.¹⁷ odstrzelili się z dubeltówek. Krzyki rannych i jęki konających biegly w ślad za uciekającymi. Ratunek był niemożliwy, chyba uciekać ku Sandomierzowi.

W m[ieście] Sandomierzu, jakiś tęgi mężczyzna, na ślicznym karym koniu, w ogromnej konfederacie na głowic, z opaską na rękawie, mianujący się pułkownikiem¹⁸, z zimną krwią szykował swoich strzelców i drogę wiodącą ku Słupczy barykadował¹⁹. Konnica jego wysłana gdzieś w stronę Pokrzywnicy na rekonesans niedaleko od miasta bawiła się wesoło, gdy oto łała się krew bratnia. Mimo prób i gróźb, pułkownik posiłków nie wysłał, nawet po długich wzdrygniach ledwie zezwolił na wyprawienie furmanki po pana F[rankowskiego], o którym doniesiono, że jest ciężko ranny.

Uszykowany w dwa szeregi zastęp sandomierski przyglądał się obojętnie zbłoconym i obszarpanym rozbitkom, głodnym i znużonym. Po dobrej godzinie dopiero zniesiono słomę i kto mógł, spoczął.

Pułkownik nie słysząc więcej strzałów, gdy nadto wieczór zapadał, barykadować drogi zaprzestał. Nastąpił tedy przegląd tak rannych, jako i zdrowych, szukano Zdanowicza, kasjera, oficerów. Na próżno! W nocy jakoś około [godziny] 10. naczelnik odnalazł się i kasę podobno złożył, a nawet miał być aresztowany. Słychać było jednak, że tylko 25 tysięcy znaleziono w kasie, a Zdanowicz z sześcioma swoimi nieodstępnyymi z aresztu umknął; długi czas po drogach rozbijał, dwory napadał, aż nareszcie prześladowany od swoich i od Rosjan, oddał się sam w ręce sprawiedliwości²⁰.

W stronie wsi Słupczy widać było ogniska naszych zwycięzców i słychać śpiewy tryumfujące; my skuleni, moknąc na deszczu, leżeliśmy jeden obok drugiego na rozsypanej po bruku słomie. A było takich szczęśliwych bardzo mało, gdyż ledwieśmy 150 naliczyli.

O północy bęben odezwał się, pułkownik przyjechał i tłumacząc się: że „miasta nie chce wydać na pożar i rzeź” kazał nam zbierać się dalej. Deszcz łał jak z cebra, noc ciemna, każdy więc gdzie mógł krył się przed niezbyt przyjemnym spacerem. Około pierwszej wyszły naprzód wozy z amunicją, mundurami, sukniem w postawach – wszystko zabrane objeżdzczykom, dalej postępowała kawaleria, potem znowu wozy z zapasami żywności, na ostatku niedobitki spod Słupczy i bryczki z maruderami; co zaś do ранnego komisarza, to tego wziął na opiekę obywatel z m[iasta] Sandomierza, obiecawszy przewieść jak najprędzej do Galicji. Lecz jak zawsze, tak i tym razem znalazł się prawdziwie *po obywatelsku*, sam się naprzód ukrył, a nieszczęśliwy F[rankowski]. poznany przez jednego z prowadzonych jeń-

¹⁷ Być może mowa o Michale Malukiewiczu, zastępcy Zdanowicza.

¹⁸ Ow mniemany pułkownik, jak wieść niesie, był niegdyś pocztalterem w m[ieście] Sandomierzu czy też w m[ieście] Staszowie, lecz schowawszy przypadkowo do kieszeni 20 tysięcy rządowych pieniędzy, za granicę umykać musiał. Żyją jeszcze ludzie, którzy znają „Piotrusia amatora banknotów”. W r[oku] 1850 zjawił się on w Warszawie, gdzie był na fasce innych, potem znikł znowu, aż nareszcie ruchem narodowym wyrzucony został na terytorium Sandomierza w stopniu pułkownika, choć nigdy w wojsku nie służył [przyp. aut.].

¹⁹ Autor pisał zapewne o Janie Nepomucenie Rayskim, dowódcy oddziału sandomierskiego.

²⁰ Zdanowicz oddał się 13 II 1863 r. w Lublinie w ręce gen. Aleksandra Chruszczowa. Stanął przed sądem wojennym, został skazany na śmierć, zamienioną później na 25 lat katorgi.

ców²¹, wydany został pułkownikowi Miednikow.

W całym powstaniu jednakowo opiekowali się rannymi; szczęśliwy ten, komu kula zgruchotała rękę lub przebiła piersi, jeżeli nie skonał na miejscu, przynajmniej o własnych siłach zawlókł się gdzie do wsi. Ranni w nogę, zostawali na placu, nikt się wtedy nim nie zajmował – w razie zwycięstwa konał z upływu krwi, w razie ucieczki od bagnetu lub piki.

W takim stanie rzeczy, oddziały musiały niknąć niepostrzeżenie i dlatego też tak mało zostało po bitwie pod Słupczą. W czasie boju koleżeństwo znikało, każdy pojedynczo myślał o sobie i nikt nie odważył się opatrzeć rannego, gdy oddział napierany cofał się, cóż dopiero myśleć o zabrananiu na wozy.

A nie było znowu tak źle, żeby nieprzyjaciel przyjaźni nie cenił, w samych początkach ranni nasi więcej od wrogów jak od nas doznawali opieki. Najlepszy dowód, że kiedy padł p[an] F[rankowski] przeszyty kulą, kolega jego niejaki Piotr S. ukląkł przy nim i nie zważając na kłujące kozactwo, własną chustką krew płynącą tamował. W tej chwili nadbiegło pięciu kozaków z wymierzonymi pikami i janczarkami, zobaczywszy jednak biedaka leżącego na ziemi, drugiego zaś płaczącego nad nim, wstrzymali konie, znizyli piki i mówiąc jeden do drugiego: „Nieszczęstnyj! Wierno jewo brat!” popędzili dalej. Może głównie dlatego pan F[rankowski] w ręce nieprzyjaciela dostał się żywcem.

Kampania więc słupczańska trwała krótko, Zdanowicz pogrzebał ją na polach wsi Słupczy. Bitwa pod Słupczą jest ową plamą pleśniową na drzewie, ową rdzą na stali, owym jaskrawym rumieńcem na licu chorego, co zapowiada kruchą budowę, zniszczenie i śmierć niczym nie powstrzymaną. Nie mogła ona wprawdzie zmienić losów Polski, ale byłaby, prowadzona wytrwale, dzielnie, skopułem²², o której rozbiłyby się intrygi prywatne i szlachecczym.

Pułkownik Miednikow, zatrzymawszy się przed Sandomierzem, nie ścigając rozbitków, dał dowód, jak mało ceni garstkę ludzi, co śmieli nazwać się oddziałem wywalczającym wolność narodu.

Tym trudniej usprawiedliwić skrytobójstwo i owe wyroki spełniane sztyltem i trucizną; zanim zasiądziemy krzesła kurulne, bądźmy pierwaj dobrymi obywatelami i żołnierzami!

Summary

The text is a short analysis of the articles published periodically in *Dziennik Warszawski* in 1865, concerning the January Uprising. An anonymous author, under the shared title *Wyjątki z pamiętników powstańca* [Exceptions from the Diary of an Insurgent], speaks about certain aspects and events in various parts of the Kingdom of Poland, including the Kraków, Lwów, Lublin, and Płock Provinces. At the same time, the author does not shy from a negative assessment of the national uprising. Three of the eleven published texts of most interest to the author of this work concern the history of the unit organised by Leon Frankowski, and are entitled *Bitwa pod Słupczą* [The Battle of Słupcza]. They describe the events which took place between 22 January and 9 February 1863 in the Lublin and Sandomierz Provinces.

Резюме

Текст представляет собой краткий анализ статей, публикуемых циклично в «Варшавском Ежедневнике» в 1865 году, посвященных Январскому восстанию. Анонимный автор под общим названием «Выписки из дневников повстанцев» рассказывает о конкретных аспектах и событиях в различных частях Царства

²¹ Był to żandarm wzięty do niewoli w m[ieście] Kazimierzu [przyp. aut.].

²² Skopuł – przeszkoda, trudność.

Польского, в том числе в Кракове, Львове, люблинском и плоцком воеводствах. Он не уклоняется от негативной оценки национального восстания. Три из одиннадцати опубликованных текстов, которые более всего интересуют автора этой работы, относятся к истории отряда, организованного Леоном Франковским и озаглавлены «Бой под Слупчей». Они описывают события, которые произошли между 22 января и 9 февраля на территории люблинского и сандомирского воеводств.